

Tylko bokser był świadkiem

W piątek, piątego marca 1981 roku, przed północą w mieszkaniu Zielińskich przy ul. Zielińskiego wciąż paliło się światło. Pani Anna słyszała, jak mąż wychodzi na wieczorny spacer z psem. Trzasnęły drzwi. Po całym dniu w aptece (jest farmaceutką) czuła w nogach kamienie. Około drugiej w nocy wyrwał ją ze snu ostry dzwonek. Czyżby zapomniał kluczy?

W drzwiach stał milicjant. W ręku trzymał białe koperty: z przodu adresat, z tyłu nadawca: Henryk Zieliński, Wrocław, ul. Zielińskiego nr...

Właśnie te koperty doprowadziły MO do ich mieszkania. Może wyciągnęli mu je z kieszeni albo rozsypały się po śniegu, gdy walczył o życie?

Pani Anna narzuciła na siebie płaszcz, marcowa noc była chłodna. Wyszła z milicjantem. Zobaczyła męża kilkadziesiąt metrów od domu. Leżał na chodniku, rozciągnięty na plecach, zawsze silny, teraz bezradny. Krew pobrudziła białe włosy obcięte na zapałkę. Obok profesora wariowała bokserka Uncja. (Wszystkie psy Zielińskich mają farmaceutyczne imiona. Gdy odeszła Uncja, na fotelu zaczęła wylegiwać się Fiolka, ruda jamniczka.)

Pani Anna pobiegła do syna Juliusza. – Wykrztusiła w drzwiach: „Ubieciaj się, tato leży” – wspomina Juliusz. – Zjechałem windą, przed domem zobaczyłem radiowóz.

Stanął z matką koło płotu i patrzył, jak milicjanci kręcą się koło ciała na chodniku. Minęła godzina, dwie, zaczynało świtać.

– Możecie iść do domu – zlitował się w końcu oficer, widząc, że zsinieili na mrozie. Razem z nimi poszedł młody milicjant. Usiadł w kącie pokoju jak przed celą. – Potem zaczęli nas wypytywać, czy ojciec miał wrogów – pamięta Juliusz. – Mówili: „To sprawa kryminalna”.

„Rychło zidentyfikowano denata – napisał 6 marca 1981 roku, w sobotę, »Wieczór Wrocławia« – Okazał się nim znany historyk profesor Hen-

ryk Zieliński z Uniwersytetu Wrocławskiego. Zwłoki prof. Zielińskiego poddano oględzinom w celu wykrycia, w jaki sposób dokonano zbrodni

Ostatnie urodziny

Tydzień wcześniej, 26 lutego, w sali Senatu Uniwersytetu Wrocławskiego była urodzinowa feta. Henryk Zieliński skończył 60 lat. Juliusz spóźnił się kilka minut, więc ojciec robił mu wyrzuty. Goście zjechali z całego kraju. Na zdjęciach stoją wokół długiego stołu, młodszy o ponad 20 lat, wśród nich uczniowie i przyjaciele z Instytutu Historycznego UWr: Adolf Juzwenko, Teresa Kulak, Włodzimierz Suleja, Wojciech Wrzesiński i inni. Na stole wino i paluszki. Pani Anna w szykownej sukience owinęła szalem złamaną, zagipsowaną rękę. Profesor w wyjściowym garniturze, szczupły, nie wysoki, białe włosy, okulary w grubej oprawie.

Przemówienia, gratulacje, rektor Kazimierz Urbanik wręcza jubilatowi złoty medal uniwersytetu, a przyjaciele oprawioną w skórę pamiątkową księgę z 34 pracami, które zadedykowali profesorowi.

Pani Anna obserwuje męża. Jest wzruszony. – Mówił, że gdy przed historykami otworzą się wreszcie archiwa Moskwy i Warszawy, na pewno zmienią spojrzenie na wiele spraw – pamięta. – Mam to na taśmie, ale nagranie jest tak złe, że trudno je odtworzyć.

Juliusz słucha ojca z zaciekawieniem. Profesor zawsze był skryty, a wtedy zdobył się na takie zwierzenia: „Był czas w latach 50., gdy dałem się zmanipulować – zdradzał profesor. – Szybko jednak przejrzałem. Życzę wszystkim, którzy dziś jeszcze błądzą, tego samego”.

Słowa Zielińskiego zapadły w pamięć Adolfa Juzwenki, dzisiaj dyrektora Ossolineum. – Próbował się usprawiedliwiać. Mówił coś w tym sensie: „Źle zrobiłem, że wstąpiłem do PZPR i byłem z nimi tak długo, ale nigdy nie przekroczyłem granic”. Dał nam do zrozumienia, że zaczyna się nowy rozdział w jego życiu.

Wtedy w nocy, gdy wyszedł na spacer z Uncją, włożył do kieszeni kilkanaście listów, chciał je przy okazji wrzucić do skrzynki. Wszystkie były do przyjaciół. Dziękował im za jubileusz.

Lekcja historii

Juliusz niewiele zapamiętał z sentymentalnej wycieczki ojca. Był wówczas w szkole średniej, ciągnęła go elektronika, słuchał Niemena i beatleów. Któregoś dnia profesor zapakował synów do samochodu i zawiózł w swoje rodzinne strony.

Najpierw do Szembruczka, małej wsi koło Grudziądza, gdzie przyszedł na świat we wrześniu 1920 roku. Potem do Grudziądza – tam pokazał im swoje gimnazjum. Wreszcie do Zakrzewa na pograniczu polsko-niemieckim; spędzał tam prawie każde wakacje. W Zakrzewie mieszkał jego wuj, ksiądz Bolesław Domański, znany działacz polonijny, prezes Związku Polaków w Niemczech. Na ścianie zakrzewskiego kościoła Juliusz znalazł tablicę poświęconą ks. Domańskiemu. – Wiem, że był dla ojca wielkim autorytetem – mówi Juliusz. – Ale niewiele o nim opowiadał, nie lubił wspominać, w ogóle trudno było z niego coś wyciągnąć.

Pewnie prowadzili na plebanii długie rozmowy o trudnej polskiej historii. Książd rozpałał wyobraźnię kilkunastoletniego chłopca. Pewnie podsuwał mu książki ze swojej biblioteki. Może to ks. Domański sprawił, że Henryk wybrał studia historyczne? Po latach pierwsze naukowe prace poświęcił sytuacji Polaków w Niemczech w okresie międzywojennym, zwłaszcza na ziemi złotowskiej. Jakby chciał spłacić dług zaciągnięty u zakrzewskiego księdza.

– Gdy wybuchła wojna, wzięli go na front – ciągnie Juliusz Zieliński. Rozmawiamy w drukarni wrocławskiej firmy Norpol Press, w której pracuje jako dyrektor techniczny. Za drzwiami dudni sprężarka, głośnie jak pneumatyczne młoty.

Kiedy Henryk poszedł na wojnę, miał zaledwie 19 lat. Chłopcy w tym wieku ucza się, biegają za dziewczynami. On dostał karabin, w bitwie nad Bzurą strzelał do Niemców. Został ranny, kula trafiła go w ramię, do końca życia ręka nie odzyskała sprawności, więc uznali go za inwalidę wojennego. Trafił do stalagu, gdzieś blisko granicy francuskiej. Kilka razy próbował stamtąd uciekać, ale bez powodzenia. Aż w końcu wydostał się podstępem. – Z obozu wypuszczali tych, którzy z powodu choroby nie mogli pracować – opowiada Juliusz. – Ojciec zamienił się papierami z kolegą cierpiącym na gruźlicę, który nie miał do kogo wracać. Wyszedł pod fał-

szywym nazwiskiem dopiero w 1944 roku. Pojechał do Krakowa. Zapisal się na tajny Uniwersytet Jagielloński.

Patrzył, jak wojska radzieckie wkraczają do miasta. Poznał Annę, ze mieszkali w domu jej rodziców w podkrakowskiej dzielnicy. W 1949 roku dostał propozycję pracy na Uniwersytecie Wrocławskim, chyba od profesora Karola Maleczyńskiego.

Moja cierpliwość

Jechali do Wrocławia prawie całą noc, Juliusz miał wtedy cztery albo pięć lat. W nowym mieszkaniu zajrzał do łazienki, spodobał mu się wielki kocioł do podgrzewania wody, już wtedy zdradzał uzdolnienia techniczne.

Pani Anna nie chciała zostawić Krakowa. Dopiero pod koniec lat 50. sprzedała dom po rodzicach, spakowała do starej sekretery rodzinne pamiątki i ruszyła za mężem. Sekretera – solidna, dębowa, z głębokimi szufladami – stoi do dzisiaj w mieszkaniu przy Zielińskiego. Podróżowała z nimi z miejsca na miejsce, pamięta dobre i złe chwile w rodzinie Zielińskich.

– Z czasem polubiłam Wrocław – wspomina pani Anna, białe włosy spięte w kok. – Znalazłam pracę w aptece. Zamieszkaliśmy na ulicy Kotłowskiej, były tam domy studenckie i mieszkania dla pracowników naukowych. Piękne miejsce, takie radosne, wokół młodzi. Tańczyli na ulicy.

Henryk Zieliński robił karierę na uniwersytecie: doktorat, habilitacja, profesura. – Czasy były podłe. Na pewno ojciec mówił w domu o różnych sprawach, ale nas w nie nie wciągał. Często rozmawiali z mamą po francusku, żebyśmy nie rozumieli, o co chodzi. Starali się nas chronić – opowiada Juliusz. – Ojciec wychowywał nas krótko, był zasadniczy, nie lubił kłamstwa, wymagał, żeby wracać o odpowiedniej porze. Starszy brat Krzysztof (obecnie pułkownik, profesor w Wojskowej Akademii Medycznej) trenował pływanie, czasem wymykał się z domu, tłumacząc, że idzie na basen. Bywało, że zbierał bury. Kłótnie zawsze kończyły się tak samo: ojciec spoglądał na zegarek i mówił: „Moja cierpliwość się kończy”.

Zła droga

Ludzie niosą flagi i transparenty, młody Zieliński wykrzykuje patriotyczne hasła. Trzeciomajowy pochód w Krakowie w 1946 roku zamienił się

w wielką manifestację. Zaledwie trzy lata później we Wrocławiu Henryk Zieliński zapisuje się do PZPR.

– Dla nas to zawsze była zagadka – opowiada doktor Adolf Juzwenko w swoim ossolińskim gabinecie, wypełnionym antykami. – Wciąż zastanawiam się, co spowodowało, że taki pryncypialny człowiek związał się z partią.

– Pewnie uważał, że w tym kraju stało się coś nieodwracalnego – zastanawia się profesor Włodzimierz Suleja, dzisiaj dyrektor dolnośląskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Urzęduje w gmachu otoczonym wysokim płotem, pilnowanym bez przerwy przez ochronę. – Że może porządny ludziom uda się coś zmienić w tym systemie.

– Nie sądzę, że tak było – wątpi doktor Juzwenko. – Myślę, że wstąpił do PZPR świadomie, z pobudek ideowych. Ale późniejsze wydarzenia coraz bardziej pokazywały mu, że zrobił błąd, że poszedł złą drogą. Zrozumiał, że totalitaryzm to system niszczący to, co w człowieku najbardziej wartościowe – jego indywidualizm. Po 1956 roku miał nadzieję, że ewolucja systemu idzie w dobrym kierunku, ale w 1968 stracił ją ostatecznie. Dlaczego nie rzucił legitymacji? Na pewno nie bał się aparatu partyjnego. Chyba zabrakło mu odwagi, żeby powiedzieć swoim uczniom: To wszystko, co wam mówiłem, jest fałszywe. Ten system nigdy się nie zmieni. Myślę, że nie poradził sobie z samym sobą.

Adolf Juzwenko został asystentem Zielińskiego w 1961 roku.

– Partyjni profesorowie hołubili partyjnych uczniów, ale Zieliński stosował własne kryteria. Patrzył głównie na człowieka, a nie na jego legitymację – wspomina Juzwenko. – Spośród wielu kandydatów wybrał mnie i Adama Basaka, który za działalność antykomunistyczną w szkole średniej siedział w więzieniu i on o tym wiedział. Któregoś dnia zaprosił nas do siebie. Powiedział: „Każdy ma prawo mieć swoje poglądy. Proszę was tylko, nie przekraczajcie granic, bo wyrzucą was z pracy”.

Gdzie są moje okulary

Pokój 312 w Instytucie Historycznym, lata sześćdziesiąte. Przed drzwiami tłoczy się grupa studentów, którzy chcą się zapisać na seminarium do Zielińskiego. Wśród nich jest Teresa Kulak, dzisiaj profesor. Od dawna nęci ją

historia najnowsza. W dzieciństwie wygrzebywała na strychu w domu rodziców stare gazety, rozczytuje się w książkach o przedwojennych kabaretach. – Profesor był na jakimś zebraniu, więc czekaliśmy prawie półtorej godziny – pamięta. – Pod drzwiami zaczęła się dyskusja, jak to u niego ciężko. Strach przetrzebił kolejkę: z pięciu osób zostały dwie. Seminaria u profesora Zielińskiego to był nieustanny egzamin. Przychodził na zajęcia w otoczeniu asystentów: po jednej stronie on, Juzwenko, Wrzesiński, po drugiej my, dwoje studentów. Żyliśmy jak w ukropie, od wtorku do wtorku. Po zajęciach od razu bieg do biblioteki, żeby przygotować się do seminarium, bo wstyd było czegoś nie wiedzieć. Mimo to nigdy nie żałowałam tego wyboru. Gdy pisałam pracę magisterską, wysłał mnie do Warszawy, przez dwa tygodnie siedziałam w bibliotece sejmowej. Dbał o swoich uczniów.

Ale bywało, że wpadał w złość. Gdy na seminarium student opowiadał głupoty, zaczynał nerwowo stukać w biurko i przesuwać rękami po włosach (dlatego w końcu ściął je na Gierka – opowiada profesor Kulak – bo wciąż były w nieładzie), gdy chwycił za okulary, studenci wpadali w panikę, był to znak, że za chwilę zagrmi jak gradowa burza. – W końcu walił okularami w stół, więc bywało, że nadawały się tylko do wymiany – śmieje się profesor Suleja.

Rok 1968

Wrze na uczelniach i w akademikach, burzliwe zebrania na wydziałach trwają do wieczora. Krążą ulotki popierające postulaty warszawskich studentów, 14 marca zaczyna się strajk okupacyjny młodzieży w gmachu głównym Uniwersytetu Wrocławskiego. Suleja był wtedy na drugim roku historii, dzisiaj pisze książkę o wydarzeniach marcowych.

Zanim doszło do strajku, profesor Zieliński poszedł do akademików. – Nie agitował, słuchał, chciał zrozumieć, o co nam chodzi – pamięta profesor Suleja. – Potem wybrałem się na otwarte zebranie partyjne w Instytucie Historycznym (to było już po wiecach okupacyjnych studentów i bojkocie zajęć), słyszałem, jak zdecydowanie odcinał się od antysemickich zachowań. To samo mówił na posiedzeniu Senatu uczelni. Marzec weryfikował ludzkie postawy. Według studentów profesor Zieliński wyszedł z tej próby zwycięsko.

Ktoś doniósł na niego do UB. Takie zachowanie nie licowało z postawą członka PZPR, byłego sekretarza POP na uniwersytecie. – Zrobili z niego prosyjonistę, potem syjonistę, wreszcie Żyda – opowiada profesor Suleja. – Był napiętnowany, wyklęty.

W domu na Kotsisa dzwoniły telefony z pogrózkami.

Z miasta do miasta

Pani Anna znów pakowała do sekretery rodzinne pamiątki. Wciąż wędrowali tam i z powrotem: z Krakowa do Wrocławia, z Wrocławia do Katowic, potem znów do Wrocławia. Po Marcu profesor Henryk Zieliński, atakowany przez ortodoksyjnych marksistów, musiał wyjechać z Wrocławia. Kazimierz Popiołek, rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, także historyk, zaproponował mu pracę na tej uczelni.

Zabrał na Górnym Śląsku swoich uczniów: Włodzimierza Suleję i Edwarda Czapiewskiego, namawiał też Teresę Kulak, ale już urządziła sobie życie we Wrocławiu. Juliusz kończył liceum: – Dostaliśmy ponadstumetrowe mieszkanie w dobrej dzielnicy, z okna rozciągał się widok na katowicki Spodek.

Wyjechali z całym dobytkiem, planowali, że na zawsze. Ale nie odnaleźli się tam: Suleja wrócił po roku, profesor po dwóch latach. – Na stanowisko rektora przyszedł wkrótce człowiek Gierka i doszło do kontrowersji na przykład na temat profilu badawczego. Zieliński nie chciał zanadto eksponować roli klasy robotniczej – opowiada profesor Suleja.

– Nie chciał też przyjmować na studia po znajomości dzieci partyjnych bonzów – pamięta pani Anna. – Przychodził do domu zdenerwowany, wykrzykiwał: „Jak ja mam z nimi rozmawiać!”

Wrócili do Wrocławia w 1972 roku, na Zielińskiego akurat oddawali nowy blok, dostali mieszkanie na pierwszym piętrze.

Wytoczył armaty

Jest wrzesień 1980 roku, w Instytucie Historycznym UW wrzaski „Solidarność”. Adolf Juzwenko opowiada: – Zwołaliśmy zebranie Związku Nauczycielstwa Polskiego. W pewnym momencie wstałem i mówię: Występuję z ZNP, od tej pory jest to zebranie założycielskie „Solidarności”.

Jako pierwszy składałam podpis na liście kandydatów. Kto następny? Zgłosiło się wiele osób, wśród nich profesor Zieliński.

Był już zdecydowany, żeby odejść z partii. Ale jeszcze chciał poradzić się przyjaciół. – Zaprosił nas do domu, ja byłam jedyny bezpartyjny wśród nich. Pytał, co myślimy o jego planach. Wtedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że cały system wywróci się, a razem z nim przewodnia siła narodu. To nie było tak, że my wszyscy chcieliśmy partyjnych na pochybel. Radziłem profesorowi, żeby poczekał, że to jeszcze nie ten moment. Zgodził się ze mną – wspomina dr Juzwenko.

Jednak wytoczył przeciwko partii ciężkie armaty. Niedługo przed śmiercią w prasie ukazało się kilka ostrych artykułów profesora. W „Gazecie Robotniczej” (w lutym 1981) pisał, że „partia przy władzy staje się często magnesem dla elementów mało wartościowych, karierowiczowskich”. Że kryzys zaufania do partii wziął się między innymi z niewłaściwego stosunku aparatu partyjnego do bezpartyjnych, przed którymi zamykano wiele drzwi. Mówiło się przecież: „Dobry fachowiec, ale bezpartyjny”. Za taką arogancję partyjną – grzmiał profesor – powinno się odbierać legitymację.

Pisał: „Każdy, kto umowy społeczne z Wybrzeża chciałby traktować jako wybieg taktyczny, obowiązujący »do odwołania«, kto tym samym kwestionuje wyrażoną w nich nową orientację strategiczną partii, działa na jej szkodę, na szkodę stabilizacji i porządku w znekąnym kraju”.

Jak to było?

Już w poniedziałek, 9 marca, milicja prostowała sobotnią wersję o zabójstwie. – Sekcja zwłok wykazała, że przyczyny zgonu były naturalne – mówił gazetom Tadeusz Trembecki, zastępca komendanta wojewódzkiego MO. – Rany na głowie powstały na skutek upadku na chodnik.

– Zabrałam psa do domu, nalałam mu wody do miski, a tu pełno krwi – wspomina pani Anna. – Dopiero wtedy zauważyłam, że ma wybite wszystkie zęby w dolnej szczęce. A oni mówili, że to zawał. Pies był jedynym świadkiem.

Co się stało tej nocy na ul. Zielińskiego?

Teresa Kulak przypuszcza: – Zaczęło się wentylowanie powojennej historii PRL-u. Wokół profesora zagęszczała się atmosfera. Podejrzewano,

że niektórzy chcieli się z nim policzyć. Istniała też inna wersja: tej nocy niedaleko było włamanie, może natknął się na bandytów?

Adolf Juzwenko nie wierzy w atak serca: – Bzdura! Skąd wgłębienie w czaszce? Ja je widziałem. Nigdy nie mówił, że czegoś się boi. Był bezkompromisowy, prowadził ostre polemiki, na pewno miał wielu niechętnych sobie ludzi w środowisku partyjnym. Ale przecież to nie powód, żeby zabijać. Nie rozumiem motywów mordercy.

Włodzimierz Suleja jest pewien, że to było morderstwo: – Nie wiem, czy na zlecenie, czy przypadkowe, ale morderstwo. Mogę zrozumieć, że upadł na chodnik i rozbił sobie głowę, jednak pies sam nie wybił sobie zębów. Wtedy była seria wypadków związanych z ludźmi aktywnymi w roku 1968. Wcześniej o mało nie zginął profesor Alfred Jahn (rektor w 1968), jakiś bandyta wszedł do jego pokoju na uniwersytecie i zaatakował go łomem.

Prawda życia nie wróci

– Brat akurat był na poligonie z żołnierzami – opowiada Juliusz. – Cudem udało mi się go zawiadomić. Przyjechał tego samego dnia. Był w mundurze, więc otwierało się przed nim wiele drzwi. Ale gdy próbował się czegoś dowiedzieć, wciąż odbijał się od ściany. Mieliśmy wiele zastrzeżeń do sekcji zwłok. Powinna odbyć się nie wcześniej niż po 12 godzinach, a oni zrobili ją po ośmiu czy dziewięciu, i to po łebkach. Sekcję przeprowadził lekarz, którego specjalnie ściągnęli z domu. Brat nie znalazł w pogotowiu nawet śladu po wezwaniu. To wszystko było dziwne: podczas ataku serca człowiek zwija się w sobie, upada na kolana i twarz, a on leżał na plecach. Prokurator umorzył sprawę, napisaliśmy odwołanie. Umorzył drugi raz, więc my znów pisaliśmy, że nie zgadzamy się z taką decyzją. Potem trzeci raz, ale wszystko na nic.

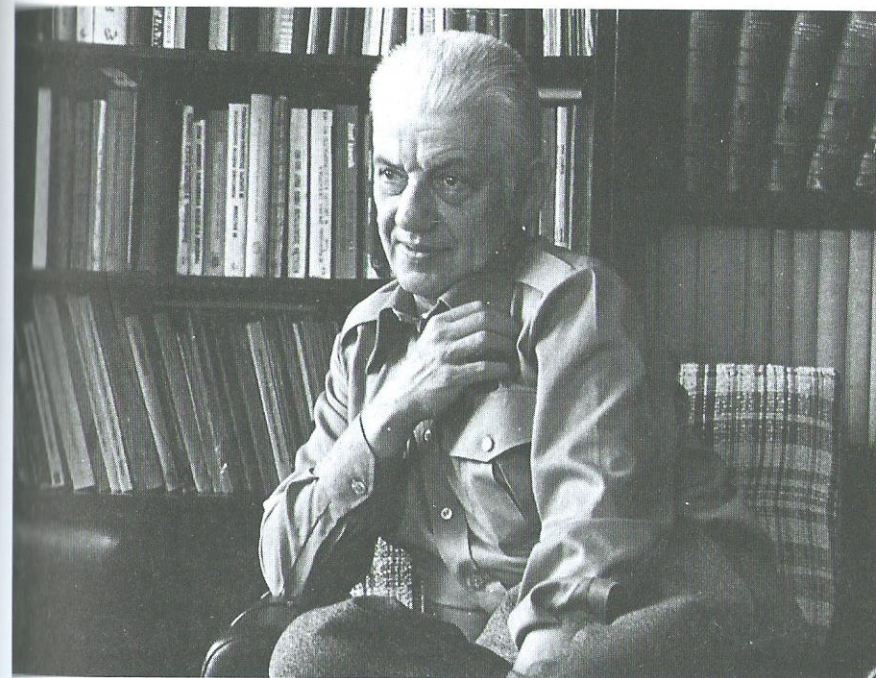
Po 1989 roku Juliusz Zieliński próbował dowiedzieć się, czy jest szansa na wznowienie śledztwa. – Ale wtedy najważniejsze były zbrodnie stanu wojennego, a ojciec zginął w marcu.

Juzwenko: – Śmierć nie pozwoliła mu stać się takim, jakim chciał być.

Pani Anna wojowała za niego. W czasie stanu wojennego w mieszkaniu przy Zielińskiego ukrywało się wielu opozycjonistów, między innymi Barbara Labuda i Władysław Frasyniuk. Gdy powstał IPN, wzięła formu-

larz wniosku o udostępnienie akt. – Jeszcze go nie złożyłam. Pomyślałam po co mi teraz ta prawda? I tak życia mu nie wróci.

Latem 1983 roku ukazała się ostatnia książka profesora *Historia Polski 1914–1939*. „Słowo Polskie” pisało 14 lipca: „Od wczesnego rana przed księgarnią Ossolineum stała tasiemcowa kolejka [...] po godzinie wykupiony został cały przeznaczony na ten dzień przydział”.



88 Prof. Henryk Zieliński w swoim mieszkaniu, przełom lat 70. i 80.

89 Prof. Zieliński podczas swojego jubileuszu w sali Senatu, 1981

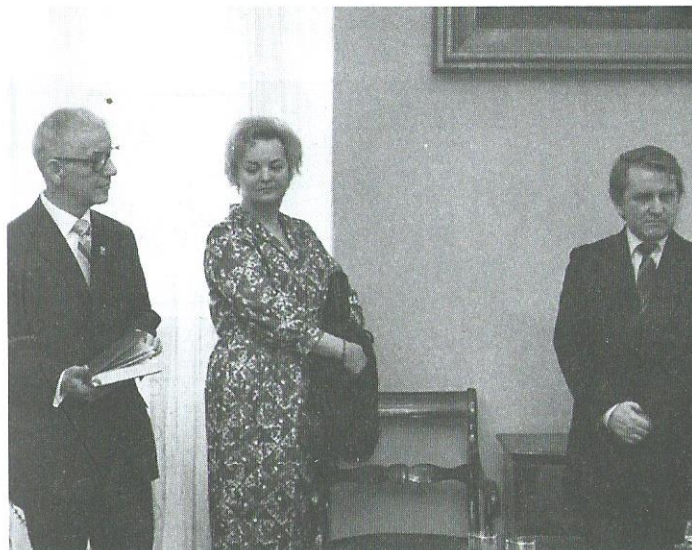


Henryk Zieliński (1920–1981) – wybitny historyk dziejów najnowszych, uczestnik kampanii wrześniowej, ranny nad Bzurą, w niewoli niemieckiej. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na Uniwersytecie Wrocławskim od 1949 roku. Zajmował się historią Śląska i stosunków polsko-niemieckich, dziejami II Rzeczypospolitej. Z jego inicjatywy rozpoczęto badania nad historią polskiej myśli politycznej, które zaowocowały serią wydawniczą „Polska myśl polityczna XIX i XX wieku”. Kierownik Zakładu Historii Polski i Powszechnej XIX i XX w., Zakładu Historii Polski i Powszechnej XX w., dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UWr. Autor m.in. *Historii Polski 1914–1939*.



60. W studiu wrocławskich „Rozmaitości”, 1980

61. Jubileusz 60-lecia prof. Zielińskiego, od lewej prof. Kazimierz Urbanik, ówczesny rektor UW, 1981



62. Prof. Henryk Zieliński, Anna Zielińska i prof. Wojciech Wrzesiński, 1981



63. Anna Zielińska, żona profesora, 2003



64. Dr Adolf Juzwenko, 2003